

Czyta: #TataMariusz



Joanna Papuzińska

Nasza mama czarodziejka

Jak nasza mama hodowała potwora



Utwór udostępniony na Licencji Wolnej Sztuki
(szczegóły licencji >> [klik](#) <<).



Czyta:
#TataMariusz

Siedzieliśmy przy kolacji, ale było jeszcze widno, bo to się stało w sierpniu.

I nagle usłyszeliśmy jakieś łomoty i straszne wrzaski. A potem jakby słońce tętent. A potem złamał się płatek i do ogródka wpadł jakiś nieznajomy zwierz, wielki prawie jak nasz dom. Podbiegł do ściany i przytulił się do niej, jakby chciał się ukryć. Swój ogromniasty, żółtawaty łeb wsadził przez otwarte okno do naszej kuchni i położył na stole. Trząśnięty ze strachu. I miał się czego bać, bo za nim leciała gromada ludzi z kijami, drągami i kamieniami.

— Smok! Smok! — wrzeszczeli oni. — Zabić go! Zastrzelić!

Wśród tych ludzi kręcił się także nasz pan od przyrody. Wyrwał im z ręki kije. Coś tłumaczył, ale mało kto go słuchał. Jakiś duży chłopak zamierzył się kamieniem prosto w łeb biednego, przestraszonego zwierza.

— Mamo, to gad przedpotopowy? — wyszeptał nasz najstarszy brat.

— Mamo, nie daj go zabić! — wrzasnął nasz najmłodszy brat.

I wtedy nasza mama wybiegła na ganek. Okazało się, że kiedy potrzeba, nasza mama umie krzyknąć głośniejsze niż najpotężniejszy głośnik uliczny.

— Łobuzy! — zawołała nasza mama. — Zabijać im się zachciało. Zrobił wam jaką krzywdę czy co? Nie słyszeliście o ochronie przyrody? To nie przyroda! Zostawcie go w spokoju! A zresztą to jest mój ogródek i proszę mi się tu nie kręcić!

Wszyscy jakoś ucichli. Więc nasz pan od przyrody wysunął się z tłumy i powiedział tak:



— Słuchajcie, ludzie! Takie zwierzęta jak to — gady przedpotopowe — żyły bardzo dawno na świecie. Nazywały się dinozaury. Żywiły się roślinami, nikomu nie robiły krzywdy. I bardzo dawno wszystkie wyginęły, teraz nie ma już ich wcale. Nie mam pojęcia, jakim cudem ten jeden znalazł się nagle w naszym mieście, ale skoro już jest, nie możemy pozwolić, żeby zginął. Tę sprawę muszą zbadać uczeni przyrodnicy. Żywy dinozaur! Taka okazja zdarza się raz na sto tysięcy lat! Zaraz idę zadzwonić w tej sprawie do Warszawy!

I stało się tak, że kiedy pan skończył mówić, w ogródku nie było już prawie nikogo. Bo wszyscy się zawstydzili i poszli do domów. Pan pobiegł na pocztę do telefonu.

A nasza mama już stała przy oknie w kuchni i karmiła dinozaura sałata.

— Biedaczku — mówiła do niego — jeszcze się trzęsiesz ze strachu! Nie bój się, nie damy cię skrzywdzić.

A on zjadał sto siedemnastą główkę sałaty i tupał na mamę swoimi małymi pocziwymi oczkami.

Mieszkał u nas przez trzy dni. Mama nazwała go Kubusiem. Był bardzo spokojny, tylko jadł okropnie dużo i gdyby nie to, że wszystkie dzieci z naszej ulicy znosiły dla niego trawę i gałęzie, szybko zabrakłoby dla niego jedzenia.

— Czy nie przesadzasz, Marysiu? — pytał tata po powrocie do domu. — Wyrwałaś dla tego zwierzaka całą sałatę z ogródka!

— O, nie szkodzi! — mówiła mama. — Taka okazja trafia się raz na sto tysięcy lat. Obejdziemy się bez sałaty.

A czwartego dnia przed nasz dom zajechała ogromna ciężarówka, żeby zabrać Kubusia do specjalnego pomieszczenia, jakie zostało dla niego przygotowane w zoo. Było nam go szkoda, ale wiedzieliśmy, że tak będzie dla niego najlepiej. Tylko Kubus



widocznie myślał inaczej, bo nie dał się w ogóle załadować na samochód. Właż tam dopiero wtedy, kiedy mama go zawołała, a panowie przyrodnicy zaczęli mamę prosić, żeby odwiozła z nimi Kubusia, bo może być w drodze niespokojny. No i mama pojechała.

Wróciła na drugi dzień, powiedziała, że Kubuś ma tam, gdzie zamieszkał, dużo miejsca na spacer i jedzenia pod dostatkiem. Tylko że nie nazywa się Kubuś, a dinozaur z Makowic. Bo nasze miasto nazywa się Makowice, a on stąd pochodzi.

